

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

WARSZAWA, ŚRODA 23 LISTOPADA 1927 ROKU № 12

# PRZOMYŚLIK

*Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży*



## JAKIE JASEŁKA GRAĆ NA BOŻE NARODZENIE?

Wiedząc, że w tym czasie zabieracie się do opracowywania jasełek, podajemy Wam poniższy spis:

*Janina Porazińska.* PRZYBIEŻELI DO BETLEEM. Jasełka. Wyd. M. Arct w Warszawie. Rzecz tę drukowaliśmy w „Płomyku” w r. 1923/4. Są to bezwątpienia najpiękniejsze nasze jasełka, wymagają jednak bardzo starannego opracowania. Osób przeszło 50. Przedstawienie trwa dosyć długo.

*Or-Ot.* SZOPKA WARSZAWSKA. Sceny i pieśni. Wyd. M. Arct w Warszawie. Osób około 50. Wyczywszy się tej szopki, można urządzić bardzo piękne i długie przedstawienie. Rysunki i objaśnienia ułatwią pracę.

*H. Romer.* NASZA SZOPKA. Jasełka dla dzieci i młodzieży wiejskiej w 3 odsłonach. Wyd. Księg. Zawadzkiego w Wilnie. Osób około 30. Wskazówki dla urządzających jasełka oraz nuty do piosenek. Szopka ta jest najbardziej odpowiednią do grania na kresach wschodnich naszego kraju.

*Bolestawicz.* JASEŁKA w 2 odsłonach ze śpiewami i tańcami. Wyd. „Odrodzenie” we Lwowie. Osób od 10 do 20. Książeczka zawiera nuty.

*R. Minkiewicz.* SZOPKA ZWIERZĘCA. Wyd. M. Arct w Warszawie. Osób 34. Szopka odznacza się tem, że występuje w niej dużo zwierząt. Przedmowa, objaśnienia i rysunki ułatwiają odegranie. Zamiast żywych aktorów mogą być kukielki.

## MUZEA SZKOLNE.

25. SZKOŁA 4-KLASOWA W SZCZEPANOWICACH, POCZTA RZUCHOWA, MAŁOPOLSKA — prosi o porozumienie się z nią szkół z okolic nadmorskich w sprawie *okazów z nad morza*.

## L I S T Y O D R E D A K C J I.

DO P. WŁADYSŁAWA MORONIA W BOLECHOWIE. Nic odpowiedniego na wieczór listopadowy nie znamy. Może Pan zechce skorzystać z drukowanego w „Płomyku” „Powstania listopadowego”?

DO HELENY MILENKIEWICZÓWNY W STANKOWICACH. Twój list istotnie otrzymaliśmy późno i nawet w spisie tych, którzy nadesłali nam dokończenie opowiadania o baloniku, nie umieściliśmy Twoego nazwiska. A opowiadanie, które napisałaś w Mocumpanie, bardzo ładne.

DO CZ. KUŚLAKA W RADOMIU. Lupy są w różnej cenie. Zupełnie niezłą mozesz nabyć za 3 zł.

DO Ś. HOLSZAŃSKIEJ W DAWIDACH. Nie możemy prosić Dyrekcji Polskiego Radja o to, by codzień nadawano „Żywy numer „Płomyka”. Ułożenie takiego numeru zabiera nie mniej czasu i pracy, niż ułożenie numeru do druku: nie nadążylibyśmy robić i jedno i drugie. Teraz był „Żywy „Płomyczek”, a i „Żywy „Płomyk” jeszcze będzie.

DO KAZI MIEDZIEJEWSKIEJ W CHRZANOWIE. Czekamy na „bardzo długi list”.

DO JĘDRUSIA PYTLAKOWSKIEGO W LUBLINIE. W Nr. 8 w „Listach od redakcji” pisaliśmy już do Karola Otto w Milejczycach, że budowa modelu dwupłatowca jest bardzo trudna. W Nr. 27 „Płomyka” z r. 1925/26, podaliśmy, jak zbudować jednopłatowiec, poruszający się dzięki rozkręcającej się gumie, połączonej ze śmigłą. Wielu naszych Czytelników, którzy zbudowali sobie jednopłatowiec według tego wzoru, mieli wiele kłopotu z wypróbowaniem go i wykończeniem, by mógł latać. Jeśli Cię te sprawy tak interesują, postaraj się o książeczki: „Modelarstwo lotnicze” przez Wojciecha Wojnę i „Budowa płatowców” przez Stanisława Szydelskiego.



## M i k a.

Na łączce za kuźnią krzątała się koło wielkiego wozu rodzina cygańska. Zbierano się do wyjazdu. Sześć tygodni całe spędzili w tej okolicy, gdzie ojciec rodziny, stary Manru, kowalowi wiejskiemu w pilnych jakichś robotach pomagał. Teraz mieli ruszać cygańskim zwyczajem het, w daleki, daleki świat. Manru siedział na niedomkniętej skrzyni przy wozie, na ramieniu miał nieodstępną Mikę, przemiłe, drobne małpiątko ze śmiejącymi się czarnymi ślepkami.

Nagle Mika zerwała się i, uchwyciwszy się łapką za nos swego pana, zeskoczyła zręcznie na ziemię. Po chwili już jej przy wozie nie było.

Śpieszyła się bardzo. No, bo i pewnie! O wszystkim pamiętała przed wyjazdem, a z Liskiem zapomniała się pożegnać. Lisek była to stara, dobra psina z sąsiedniego podwórka. Kiedy się zobaczyli pierwszy raz po przyjeździe Cyganów, Lisek puścił się w pogoń za Miką i małpka była w wielkim strachu. Już ją doganiał, już czuła za sobą sapanie. Jak się nie odwróci, jak nie prychnie, niczem kotka, psu prosto w nos! Teraz Lisek w nogi, a Mika pędzi za nim na swoich czterech rękach, a prycha, a pluje, aż Lisek ostatniego tchu z siebie dobywa. Od tej gonitwy zaczęła się ich przyjaźń i przez sześć tygodni polubili się wzajemnie bardzo.

Mika zastała Liska na zwykłym miejscu pod stodołą. Drzemał, zwinięty w kłębek, puszystym ogonkiem zasłaniając sobie oczy przed mocnym słonecznym blaskiem. — Dowidzenia, stary śpiochu!

— Jakto dowidzenia? Co to znaczy? Wyjeżdżasz?

— Wyjeżdżamy wszyscy, to i ja też jadę.

— Dokąd? Gdzie? Co? Jak? — pytał Lisek, przecierając zaspane oczy.

— Czy ja wiem dokąd? W świat. Gdzie oczy poniosą.

— I tak zaraz, dziś?

— A dziś. Już i tak mi było dziwno, żeśmy tak długo na jednym miejscu usiedzieli.

— To ty nie żałujesz, że jedziesz?

— Lisek! Co tobie w głowie, czy ty jeszcze śpisz, czy co? Gdzieżbym ja miała żałować tego, że jadę? Taki cudny świat! Hej Lisku, Lisku, alboż ty wiesz, co się na świecie dzieje? Wyglądałeś to kiedy poza waszą wioskę?

— Chodziłem kiedyś z gospodarzem na jarmark do miasteczka. Sprali mnie tam, bom kielbasę ze stragana ściągnął, ledwie żywy do domu wróciłem. Nie, nie, za żadne skarby więcej nigdzie nie pojedę. I co to za uciecha po świecie się włóczyć?

— Hej, Lisuniu kochany, znać, żeś ty poza tą kielbasą wiele nie

widział na świecie. Co za uciecha—pytasz? A nocowałeś ty kiedy przy ognisku w lesie? Widziałeś kiedy, jak się przy księżycu blaski i cienie za ręce biorą i w tany ruszają? Słowik im do tańca gra, ledwie duszy nie wyśpiewa. Jaśminy pachną i czeremcha. Gwiazdy mrugają do ciebie, jakby ci każda miała ochotę na osobności coś okrutnie ciekawego do ucha szepnąć. Albo kiedyindziej wczesnym rankiem, świtanie, kiedy się mgła na świat zwali. Zrazu gęsta aż ciemno, że tylko gałęzie drzew najbliższych, jak łapy kosmate, widać. Dopieroż jak słońce dobrze po spaniu oczy przetrze, do roboty się weźmie i miotłą owe mgły ze świata, jak śmieci z izby, wymiatać pocznie! Hej! cóż też to za cuda się wtedy dzieją! Ani się obejrzyysz, jak ci się z pod tej mgły gdzieś nagle rzeka w dole nisko pokaże. A przy niej wioska cicha. Psy szczekają. Albo znowu miasto, a w niem domy wielkie, jak pałace; ludzi mrowie, aż czarno na ulicach, a w sklepach za szybami śliczności takie, że oczy pogubić można. Małośmy to razy bywali! Ze wsi bieda wykurzy, roboty niema, jedziemy do miasta: pan sztuki pokazuje, ja figle stroję. Ludziska grosiwa nie żałują, bo się uśmieją serdecznie. A z miasta znowu na wieś, niech się jeno zazieleni na wiosnę. Byle wesoło, byle swobodnie. Prawdę ludzie powiadają: „Niema pana nad Cygana”. Pustki ma w kieszeni, ale zato cały świat do niego należy.

Lisek zamyślił się głąboko.

— Może. Kto was tam wie? A teraz posłuchaj ty, co ja ci powiem: czy ty, Mika, wiesz, co to jest dom? Swój własny dom, swoje śmieci, swoje podwórko? Swoja zagroda, z której, wiem, że mnie nikt nie ruszy? Zagroda, której pilnował mój dziad i pradziad i pilnować będą moje wnuki? Zagroda, w której znam każdą dziurę i każdy kołek w płocie? I nietylko ja je znam, ale i one mnie znają, lubią i szanują i każde z nich mi dobre słowo rzuci, jak koło nich przechodzę. A gospodarz z gospodynią, a dziecko? Choć tam i spiorą czasem, ale przecież swoi, nie obcy. I nie żal tobie, Mika, choćby mnie, cośmy się tak zaprzyjaźnili przez te parę tygodni? A teraz pojedziesz sobie w tyli świat, to i zapomnisz i cała nasza przyjaźń się rozleci. Nie szkoda ci to tego? To też coś warte, nietylko twoje słowiki. A słowik to i u nas śpiewać potrafi. Widzisz mała, młoda jesteś, to i niedziwota, że ci świat cygańską swobodą pachnie. Ale sobie spamiętaj jedno: dla nowych przyjaciół nie zapominaj o starych. To ci mówi taki stary, dobry przyjaciel.

Mika posmutniała. Przytuliła się do psa i objęła go za szyję łapkami.

— Nie becz, mała. Patrz! Idą po ciebie.

Jakoż z za węgła pokazał się Manru. Rozejrzał się dokoła, a zoczywszy Mikę, ruszył ku niej.

— Gdzie ty się podziewasz, Mika? Wszystko gotowe, możnaby jechać, a tu łaż i szukaj.

Małpka wtuliła mu się pod serdak. Łzy sypią się, jak groch, po koczuku na kurz, na drogę.

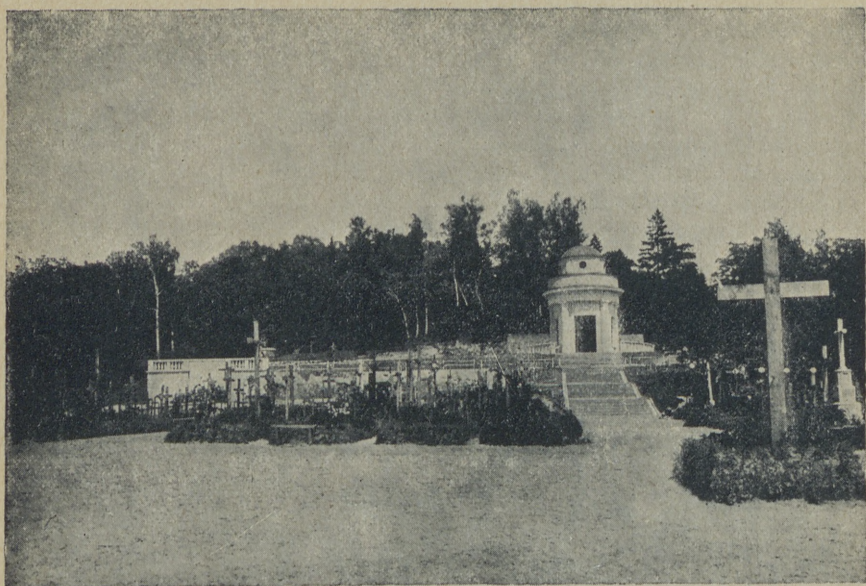
Ruszyli w świat, w szeroki świat. Na cygańską dolę i niedolę...

*K. Konarski.*



Mal. K. Pułaski.

UŁANI z r. 1831.



GROBY „ORLĄT” NA CMENTARZU WE LWOWIE, POLEGŁYCH  
W LISTOPADZIE 1918 ROKU.

Dzisiaj, w rocznicę nową  
listopada,  
Orlątom polskim poświęcam te  
słowa,  
których snu strzeże dawno już  
śmierć blada,  
w objęciu swoim utulić gotowa  
każdego człeka, a z miłością  
strzeże  
grobow i, sławiąc wielkie Orląt  
męstwo  
poległych, szepce cichutko  
pacierze  
za tych, co dali życie za  
zwycięstwo.

W bój polecili, jak Orłęta młode,  
i wywalczyli, choć dużo ich legło,  
ledwie zaczawszy żyć, kraju  
swobodę.  
Dziewięć lat długich od ich śmierci  
zbiegło,  
mogily tylko i pamięć została.  
Dzisiaj, w rocznicę nową  
listopada,  
Polska znów wolna, zjednoczona,  
cała  
Orlątom swoim słowa hołdu  
składa.

JANINA WITKOWSKA.

## Święto niepodległości.

W dniu 11 listopada b. r. minęło 9 lat, od kiedy Polacy rozbroili wojska zajmujących nasz kraj Niemców i Austryjaków. Dzień ten, jako Święto Niepodległości, był uroczystie obchodzony w całym kraju.

Najświetniej odbyła się uroczystość w stolicy — w Warszawie. Już od wczesnego rana ciągnęły oddziały wojskowe z orkiestrami.

Kilkanaście tysięcy różnych rodzajów broni zajęło Plac Saski i sąsiednie ulice. O godz. 10-ej w Katedrze odbyło się nabożeństwo, na którym był obecny Pan Prezydent Rzeczypospolitej. Około godziny 11-ej na Placu Saskim przeciągnęli przed Panem Marszałkiem Piłsudskim, przedstawicielami Rządu, Sejmu, organizacyj społecznych, publiczności nasi dzielni żołnierze: najpierw piechota, potem artylerja, konnica; po defiladzie wojska — przeciągnęły oddziały policji pieszej i konnej, straż celna, uczniowie hułców szkolnych, strzelcy, oddziały sokołów i t. d.

Po południu na placach warszawskich wojskowe orkiestry odegrały różne utwory myzyczne, oraz odbyła się uroczystość w sali Filharmonji, gdzie znakomity literat, Andrzej Strug, wygłosił piękne przemówienie o walkach Józefa Piłsudskiego i Jego wielkich dla kraju zasługach.

W innych miastach Święto Niepodległości było również uroczyste obchodzone.

## Huk - Puk w Paranie.

*Dokończenie.*

Ale zwierzęta nie słuchały głosu Wichru, wiedziały, że choć chciał dobrze, to jednak mógł im nawet zaszkodzić, a nie pomóc — taki był gbur niewykształcony. Nic dziwnego. Wicher, kiedy był mały i nazywał się Wiaterkiem, był psotnikiem nielada i nic uczyć się nie chciał. A i teraz, kiedy stał się duży i silny, rozumu miał niewiele.

Po długiej chwili zwrócili się wszyscy znowu do Tukana.

— Tukanie, radź, Tyś mądry, ty znasz ludzi, radź, co robić!

Tukan milczał. Obraził się, że zwierzęta przerwały mu, kiedy opowiadał im o wielkości i potędze człowieka.

Ale, kiedy i stary Tygrys przyłączył się do chóru proszących, podniósł wielki dziób i przemówił:

— Człowiek jest zły, trzyma Ogień w niewoli i, kiedy wszyscy zasną w obozie, przestaje mu dawać jeść, tak, że ogień słabnie i tli się tylko, jak mała gwiazdeczka pod kupą brudnego popiołu. Wtedy potrzeba, aby jedno z nas porwało słaby Ogień, uniosło i wrzuciło do wody. Ogień przepadnie, i człowiek nie da nam rady.

— O tak, o tak! Ogień przepadnie i człowiek przepadnie!

— O, giń! O, giń! Ogniu niedobry! — krzyczały zwierzęta.

— Ale kto pójdzie wykraść Ogień? — zakwakała roztropna Mareka<sup>1)</sup>. — Kto pójdzie? Ty sama. Masz dziób szeroki i wszystko zabierzesz odrazu! — krzyknęło któreś zwierzę.

— Ja się z mojej wody nie ruszę, a Ogień parzy podobno więcej, niż słońce w półdzonek.

Tukan milczał smutny, że zwierzęta w niezgodzie i nikt nie ma ochoty poświęcić się dla dobra sprawy.

Upłynęła długa chwila, ale nikt się nie zgłaszał.

<sup>1)</sup> Mareka — mała, ładnie upierzona kaczka.

— Człowiek jest zły i wytraci nas napewno, jeśli się nikt nie odważy pójść po ogień! — zamruczał Tygrys.

— To idź sam! — zaskrzeczała mała, zielona perekita<sup>1)</sup> i pofrunęła na wyższą gałąź ze strachu przed tygrysią paszczką.

Gdy wszyscy tak się kłócili, a nikt sam się narazić nie chciał, wyfrunął niewielki, żółty ptaszek i wesoło zaśpiewał: — Bem te vi<sup>2)</sup>! Och, ja widziałem was i słyszałem dobrze. Ja pójde po Ogień, ja pójde!

Wszyscy się zdumieli. Ta mała, łagodna i wesoła ptaszyna gotowa była na czyn, którego nawet olbrzymi Tygrys nie chciał się podjąć!

— Idź po Ogień, idź po Ogień, nigdy ci tego nie zapomnimy i nie damy ci zrobić krzywdy. Choćby sam Tygrys — uszanować cię musi.

— A pójde, pójde i nie dziękujcie mi wcale. Zrobię to dla was, dla Puszczy - matki i dla was, braciszków i siostrzyczek. Człowiek jest zły, wszyscy to mówią, i Tukan mądry i wszyscy. Nie lubię złych. Zaraz dostrzegam występki i krzyczę złośnikowi: — Och, dobrze cię widziałem! Pójde, pójde!

Narada zwierząt szczęśliwie się skończyła i wszyscy poszli spać. Ludzie też spali i ogień przygasł, ale nie zamarł. Pod ciepłą kołderką popiołu drzemał sobie i marzył. Pogodził się dawno z człowiekiem i był mu wiernym przyjacielem. Był zły na te wielkie drzewa, które nie dawały cienia i miejsca, nie pozwalały zakwitnąć zbożom. A że był odważny bardzo i porywczy, obiecywał sobie pobić je, pożreć i podpalić.

Cicho było w obozie.

Jeszcze słońce nie weszło, kiedy mały chłopczyna z jasną główką i niebieskimi oczyma, podszedł do ogniska i począł dmuchać w popiół, aby wydobyć płomień. Iskierki wnet się pojawiły, witając małego człowieka.

Na to tylko czekała żółta ptaszyna. Porwała się szybkim lotem z wysokiego pinjora i, jak złota kula, spadła na ognisko, krzycząc:

— Bem te vi! Bem te vi! Widzę cię dobrze, oj, dobrze! — i chwyciła iskiere w dziobek.

Ale Ogień się przestraszył, a potem rozgniewał, że ktoś go chwytą i ścisną i ugryzł ptaszka w języczek.

Żółta ptaszyna rozplakała się z bólu i spadła na ziemię. Chłopczyk prędko doskoczył i chwycił ją w ręce. Oj, jak jej biło serduszko! Ale chłopczyk pobiegł do chatki i nałożył choremu ptaszce trochę tłuszczu na sparzony języczek. Ukoilo to ból.

Jakże się zdziwiła ptaszyna. Przecież wszyscy mówili, że człowiek zły: i Tukan mądry, i wszyscy i wszyscy, a to nieprawda: chłopczyk nie tylko, że nic jej złego nie zrobił, ale jeszcze ból uspokoił i teraz pieścił ją, mówiąc:

— Idź, ślicznotko, do lasu, do swoich i śpiewaj.

Więc rozwinęła skrzydełka i z całej siły zaśpiewała głośnym, jak srebrny dzwonek, głosikiem:

<sup>1)</sup> Perekita, zwana często „brygidą” — mała papużka.

<sup>2)</sup> Wymawiaj: „beń-te-wi” — po portugalsku znaczy to: „dobrze cię widziałem” — jest to nazwa ptaszka wielkości żolny, często widywanego w krajach brazylijskich.





NA FERMIE W PARANIE.

— Człowiek jest dobry! Człowiek jest dobry! O, tak — jest dobry! Zwierzęta nie widziały przygód żółtego ptaszka, ale usłyszały jego piosnkę, bo las cały pełen był radosnego krzyku:

— Człowiek jest dobry! Człowiek jest dobry!

— Przepadliśmy — zakrakał Tukan. — Ogień został w obozie. Żółty ptak zdradził.

— Dalej teraz, ljanya i ciernie, żmije i osy, dokuczajcie ludziom! Brońmy się!

Zielony jaszczur<sup>1)</sup> słuchał obojętnie, jak ljanya sposobily stryczki i pętlice dla przeszkadzania ludziom w pracy, jak ciernie ostrzyły swoje kolce, a żmije i osy szykowały krople trucizny. Wszystkie zwierzęta i cała puszcza była w ruchu. Wszystko, co żywe, sposobilo się do walki z człowiekiem. Zaproszono i zielonego jaszczura. Miał mocny ogon i mógł przecie nim walczyć. Ale jaszczur tylko się oblizał długim językiem i poszedł wygrzewać się koło dziury pod starym cedrem, bo słońce właśnie już wzeszło.

W obozowisku zaczął się ruch.

Ludzie ruszyli w las z siekierami, ale drzewa były jeszcze twardsze, niż wczoraj. Ljanya dotrzymywały przyrzeczenia, danego zwierzętom w nocy, i przeszkadzały ludziom, jak mogły. Zrobiły w gęstwinie drzew siatkę grubą i mocną i chwytaly ludzi to za głowy, to za ręce tak, że nie mogli pracować. Osy i olbrzymie komary cięły bez litości. Paru ludzi pokasały jadowite żmije.

Ludzie jednak byli uparci, wytrwali i odważni. Choć dużo już było

<sup>1)</sup> Tak nazywają wielkie zwierzę podobne z kształtów do jaszczurki (dochodzi do 2 m. długości).

chorych i kilku zmarło w tej walce z puszczą i zwierzętami, inni nie ustawali. Cięli las bez przerwy. Wyrąbali fojsami<sup>1)</sup> kawał puszczy z ljan, paproci i takuary, ale koło południa postabli. Ciężko powlekli się do obozu.

Nadomiar złego Wicher wiać począł i burzyć ogrodzenie obozu, targać dachy chatki i rzucać czerwonym pyłem w oczy.

Wtedy wystąpił Huk-Puk, ujął płonąca żagiew z ogniska i rzekł:

— Wielka i silna jest ta puszcza, liczne przeszkody sprzysięgły się na nas, ale prócz sił naszych i narzędzi żelaznych, mamy jeszcze jednego sprzymierzeńca. To Ogień! Rozumem naszym zjedналиśmy go sobie i teraz nam pomoże. Niech sobie stoją te stare drzewa - olbrzymy. Najprzód pokonamy chwasty: takuare, i ciernie i owady dokuczliwe, a potem i największe drzewa ulegną.

I podszedł Huk-Puk z płonąca żagwią do największej kupy zielski i trzcini suchych już i żółtych ze złości, że je wycięto.

Wicher przycichł, patrząc, jak to Ogień będzie pomagał człowiekowi.

A Ogień nie żartował: pochwycił zaraz suche trawy i gryźć je począł, aż jęczały, piszczały, trzaskały i zwijały się z bólu. Płomienie i czarny dym uniosły się ku jasnemu niebu.

— Poczekaj, Ogniu! Rozniosę cię na cztery strony świata, wrzucę w puszcza i zadławię! — zaryczał Wicher i zadał zwolna, a potem coraz mocniej. Ale nie wiedział — głupi, że tylko pomaga Ogniewi.

Puszcza płonąca.

Wkrótce kawał puszczy został spalony. Poczerniała ziemia dymiła. Chwasty, ljan, ciernie i trzcina zniknęły. Żmije uciekły daleko przed żarem. Komary i osy dym wydusił. Przerażone zwierzęta pokryły się w gęstwinie.

Człowiek zwyciężył.

Żółty ptaszek wesoło rozgłaszał nowinę:

— Człowiek jest silny, człowiek jest mądry, i dobry i dobry!

Minęło parę miesięcy. Na spalonym polu ludzie posadzili kukurydza, żyto i czarna fasolę, zwaną fizonem. Teraz zieleń się wszędzie. Ale nie była to bezładna, niegościnna zieleń puszczy. O nie: kukurydza i zboże należały do przyjaciół człowieka.

W obozie było teraz wesoło. Powstała kolonja. Wycięto drogę wśród puszczy. Po obu stronach stały czyściutki domki. Gdzieniedzie rosły już sady pomarańczowe. Krówki porykiwały wesoło i psy kręciły się po drodze razem z jasnowłosemi, grzecznymi dziećmi.

Budowano szkołę.

Człowiek zwyciężył puszcza. Huk-Puk był wesoły.

Połował teraz na starego Tygrysa w głębi puszczy. Ten stary rabiś, taki odważny wobec małych zwierząt, postrach sów dzikich — na samą wieść o tem, że Huk-Puk pragnie się z nim zmierzyć, uciekł daleko w góry.

<sup>1)</sup> Fojsa — narzędzie do wycinania krzaków i mniejszych drzew.



## OSADNICY POLSCY W PARANIE.

Bał się! Drobne, pracowite zwierzęta, odetchnęły. I teraz już wiele z nich zgodnie chwaliło człowieka: — Człowiek jest dobry! Człowiek jest dobry, i mądry i pracowity!

Wieczorem w nowej kolonji życie wrzało. Bawiono się. Tańczono. A małe dzieci śpiewały:

— Choć na cudzym my wyraju  
zrodzone pisklęta,  
o ojczystym, miłym kraju  
każde z nas pamięta.

Polska krew w nas płynie,  
polskie serce bije,  
polska mowa — nasza mowa,  
choć w cudzej krainie.

I żółty ptaszek też śpiewał wesoło: — Dobrze wiedziałem. Człowiek jest dobry, człowiek jest dobry!

A jak które z dzieci schowało się przed innymi podczas zabawy w chowanego, żółty ptaszek krzyczał z żartów:

— Widzę cię! Widzę cię! — Bem te vi! Bem te vi!

Zielony jaszczur nie bał się ludzi. Każdego ranka wylazł ze swej dziury pod starym cedrem. Oblizywał się długim językiem i szedł wyjadać jajka kurom.

Dzieci nie lubiły jaszczura.

Wolały żółtego ptaszka i jego srebrzysty śpiew:

— „Bem te vi! Bem te vi! Człowiek jest dobry”!

*Apolonjusz Zarychta.*

3)

## Córka latarnika.

*Napisał Bohdan Pawłowicz.*

Mała Lilith nie zwracała z początku uwagi na srożącą się za oknami burzę. Na chwil parę zaledwie oderwała się od książki i, słuchając dziekiego koncertu, który się rozpętał na dworze, spokojnie głaskała śpiącego kota. W sercu dziewczynki kołatać zaczął pewien niepokój.

— Będą płynąć na dużej fali — myślała. — Tom się zmęczy... — lecz opanowała się szybko, wiedząc, iż nic na to poradzić nie może. Na nowo więc zaczęła czytać bajki równym, melancholijnym dziecięcym głosem.

Zwolna, zwolna zapadał wieczór. Mrok czaił się już po kątach i ostrożnie wypełzał na środek izby. Lilith zamknęła książkę tak głośno, że aż nagle zbudzony „książę” Mrumruś miauknął przerażony. Drzewo na kominku dopalało się już, a ostatnie płomyki migotliwemi, jasnemi plamami światła kładły się na złote włosy dziewczynki i brylantowemi błyskami odbijały się od jej dużych, marzących, brązowych oczu.

— Jeszcze ich niema — szepnęła Lilith. — Mój Boże, co im się stać mogło? — Zdjęta nagłem przerażeniem pobiegła krętymi schodkami na górę, z trudem otworzyła drzwiczki od galeryjki i wyjrzała. Mokre, zimne bryzgi słonej piany wodnej chlusnęły na twarz dziewczynki. Wichura zawyla rozdzierającym jękiem, a nieprzytłumiony grubemi murami huk druzgotanych bałwanów napełnił dzikiem echem wnętrze latarni. Czarno-stalowe, nisko zawieszzone chmury gnały z przerażającą szybkością w przestrzeń. Od stóp skały Świętej Heleny wypryskiwały niewiarogodnie wysoko potężne fale i rozbiły się na białą, gęstą, a lotną pianę. Z drobnych, białych kropelek, z oparów roztrzaskanej piany wznosił się tuman, zasłaniający wszystko i wnet, na parę sekund rozwiwany był przez wicher.

Lilith, przyparta do odrzwia potężnym tchnieniem burzy, stała onie miała i ogłuszona, patrząc szeroko rozwartemi oczyma na straszliwą, choć wspaniałą rzeczywistość. Wreszcie, bez żadnego wstępu zaczęła płakać cichutko, a duże łyzy srebrzystemi kroplami toczyły się po jej smagłych, opalonych policzkach... Nagle silniejszy podmuch wichru pchnął z niebywałą mocą napół rozwarte drzwi. Zatrzasnął je, a uderzona gwałtownie dziewczynka przewróciła się i potoczyła na środek kabiny.

Chwilę trwała w odrętwieniu... Szary mrok rozgościł się już wszędzie. Lilith, jęcząc, dźwignęła się... Wzrok jej padł mimowoli na duży zegar, umieszczony tuż nad tablicą rozdzielczą. Lilith zapłakała ponownie. — Już siódma, a ich jeszcze niema!

Nagle przypomnienie targnęło nią, niby prąd elektryczny: — siódma, a Tom zapala latarnię o szóstej!

W jednej chwili przestała płakać i, powziąwszy postanowienie, skoczyła do przełączników.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

# Jak się tresuje i poskramia zwierzęta.

*Dokończenie.*



TYGRYSY W KLATCE.

— Czy pan również zajmował się dzikimi zwierzętami? — pytałam dalej.

— Nie, pani, niebezpieczny ten zawód przechodzi najczęściej z ojca na syna, gdyż dobrym pogromcą dzikich zwierząt może być tylko ten, kto od najmłodszych lat zżył się z niemi. Prócz tego mieć on musi wielką siłę fizyczną i ogromną pewność siebie, gdyż najmniejsze załamanie się, najslabszy nawet objaw lęku, zwierzęta wyczuwają natychmiast i odpowiednio zeń korzystają.

— Zdaje mi się, że zwierzęta, urodzone w menażerji, są o wiele łagodniejsze?

— Bezwątpienia, lecz są mniej piękne i mniejsze wywierają wrażenie na publiczność.

— Skąd dostarczane są okazy do menażeryj i ogrodów zoologicznych?

— Przed wojną największe targi dzikich zwierząt odbywały się w Hagenbeck i Hamburgu, obecnie zaś Anvers i Londyn robią im konkurencję.

— Ciekawa jestem bardzo, w jaki sposób oswoić można dzikie zwierzę, przybyłe wprost z dżungli, które po raz pierwszy widzi zbliska człowieka?

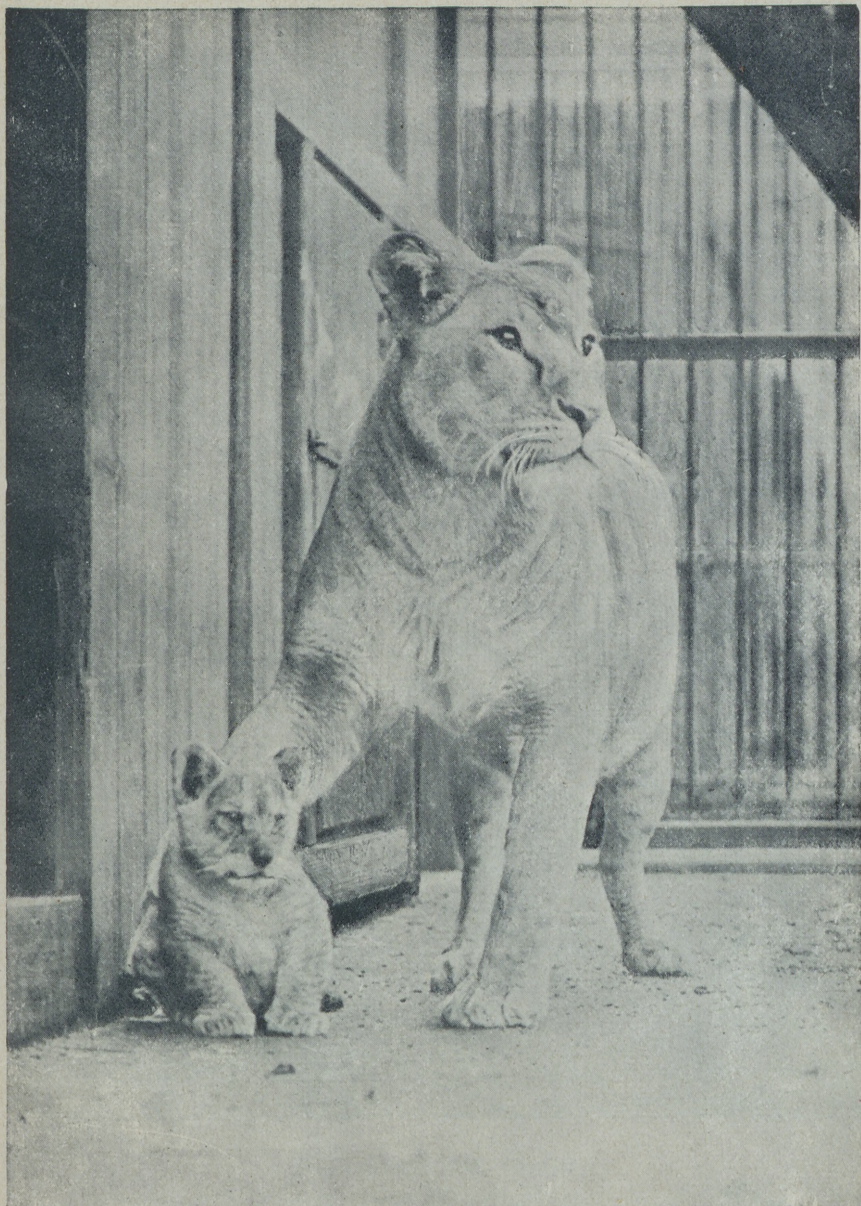
— Trwa to bardzo długo. Najpierw dostęp do zwierzęcia ma tylko jego przyszły pogromca; on czyści mu klatkę i dostarcza pożywienia. Niema zwierząt ani tak złych, ani tak głupich, które nie miałyby poczucia wdzięczności za zaspakajanie ich głodu. Stopniowo więc lew przyzwyczaja się do twarzy swego opiekuna, a gdy ten rozmyślnie spóźnia się z jedzeniem, zaczyna go przywoływać. Wtedy pogromca zbliża się do klatki, a gdy zwierzę chce rzucić się na kraty, uderza go silnie batem po łapach. Po pewnym czasie zwierzę nie atakuje więcej. Wtedy pogromca wchodzi do klatki. Ubrany jest w mocne, skórzane ubranie, wysokie buty, a głowę pokrywa mu rodzaj koszyka ze stalowego drutu. W prawej ręce trzyma bat, w lewej krzeselko. Ma również przy sobie rewolwer, w którym cztery naboje są bez kul. Pogromca wchodzi śmiało, a towarzysze czuwają nad każdym jego ruchem i w każdej chwili gotowi są nieść mu pomoc. Pierwszy wybuch wściekłości rozbija się o krzesło, którego cztery nogi pogromca nadstawia zwierzęciu. Zatrzymuje się ono, pogromca mocno uderza je batem, a nowy atak, jak tarczą, znów odpiera krzeselkiem. Następnie strzela z rewolweru, a huk i płomień, oszałamiają nawet najdziksze zwierzęta. Codziennie lew przekonywa się o przewadze człowieka i zaczyna uczuwać przed nim strach, połączony z powstrzymywaną wściekłością. Pogromca coraz częściej wchodzi do klatki, a gdy wie, że zupełnie opanował swego wychowanka, uczy go najpierw łatwych, potem więcej skomplikowanych sztuk. Tę samą metodę stosuje się do wszystkich innych dzikich zwierząt.

— A które z nich najlepiej dają się opanować?

— Bezwątpienia lwy, gdyż mają dobrą pamięć i są dość posłuszne.

— Czy często zdarzają się wypadki, że zwierzę rzuca się na swego pogromcę?

— Niestety, bardzo często i dlatego żadne towarzystwo ubezpie-



LWICA ZE LWIĄTKIEM.

czeniowe nie chce ubezpieczać pogromców na wypadek kalectwa lub śmierci, gdyż najuległejsze zwierzę nigdy nie jest pewne i w każdej chwili może stać się nieopanowanym. Pogromcy czasem uciekają się



LAMPART NA SWOBODZIE.

również do pewnych sztuczek: jeden z moich znajomych kładł się pomiędzy sześcioma lwami i wtedy rzucono nań czerwone światło z reflektora. Moment był pełen grozy, a publiczność nie domyślała się, że światło rzucone było nie dla nadania przedstawieniu pewnej świetności, lecz dla onieśmienia zwierząt, które zabobonnie lękają się płomieni ognia.



Inny znów wchodził do klatki tygrysów prawie nagi; całe ciało miał nasmarowane pomadą, której zapachu zwierzęta nie mogły znieść.

— Wobec tego, co mi pan powiedział, myślę, że niewielu jest amatorów tego niebezpiecznego zawodu? — rzekłam.

— Być może, że są oni nieliczni, lecz ludzie ci kochają swój zawód i nie zmieniliby go za nic w świecie. Poczucie przewagi inteligencji i woli nad siłą brutalną daje im przecież tyle zadowolenia!

W tej chwili piesek zeskoczył z ławki i zaczął się łasić koło swego pana.

— Czas na nas: Boby przypomina, że zbliża się pora obiadowa — rzekł pan, podnosząc się z ławki. A. Pinon.



„OSTY”.

Mal. Stanisławski.

## Ż a l.

*Chodzi sobie żal po świecie,  
chodzi sobie żal...  
Zwiędło w lesie cudne kwiecie,  
i już kwiaty nie zakwitną.  
I pomknęły w dal błękitną  
nasze ptaki — w dal...*

*Błąka się ten żal po boru,  
po cmentarzu w mgłach...  
Czy to świt, czy mrok wieczoru,  
miedzą błąka się po roli,  
i o ludzkiej myśli doli,  
o tych gorzkich łzach...*

Myśli sobie, że tak wiele  
 zła na świecie tym...  
 Smutek się po ziemi ściele...  
 Kiedyż wreszcie to się ziści,  
 że niezgody, nienawiści  
 znikną, jako dym?...

Chodzi sobie żal tułaczy  
 szlakiem różnych dróg...  
 A gdy dobro gdzie zobaczy,  
 w niebo wznosi łzawe oczy,  
 bo — tam pośród gwiazd  
 roztoczy —  
 jest nad światem — Bóg...

M. CHEŁMONSKA.

12)

## Wesoła gromada.

Opowiadanie z życia szkolnego.

Napisała Janina Porazińska.

### XI.

Dzieciaki siedziały w ławkach cicho, skulone i smutne. Winien był temu dzień prawdziwie jesienny.

Niebo było szare, szare tumany kłębiły się nisko nad polami. Na gałęziach drzew, w sadzie dygotały ostatnie listki. Po ścieżkach niemrawo łążyły obmokłe wrony.

— Jak jest tak brzydko na dworze, to się zupełnie nic nie chce robić — pierwszy odezwał się Janek i ziewnął szeroko, od ucha do ucha. I znów przez kilka chwil było cicho.

— Ja tobym tylko spała — odezwała się teraz gruba Brygida i przyknęła oczy.

— A mnie to tak jakoś w dołku mdli, że jej... — skrzywił się łakomy Wojtek.

— I mnie też! — pozazdrościła mu Mańka.

— Na taką pogodę to mnie wszystkie palce bołą — skarżył się Piotruś i oglądał swe czerwone, odmrożone ręce.

Mańka westchnęła: nie miała odziebionych rąk.

Przycichli. Za oknami rozchlapał się drobny, gęściutki deszcz. Szyby w jednej chwili zapotniały rosą. W klasie jeszcze bardziej poszarzało.

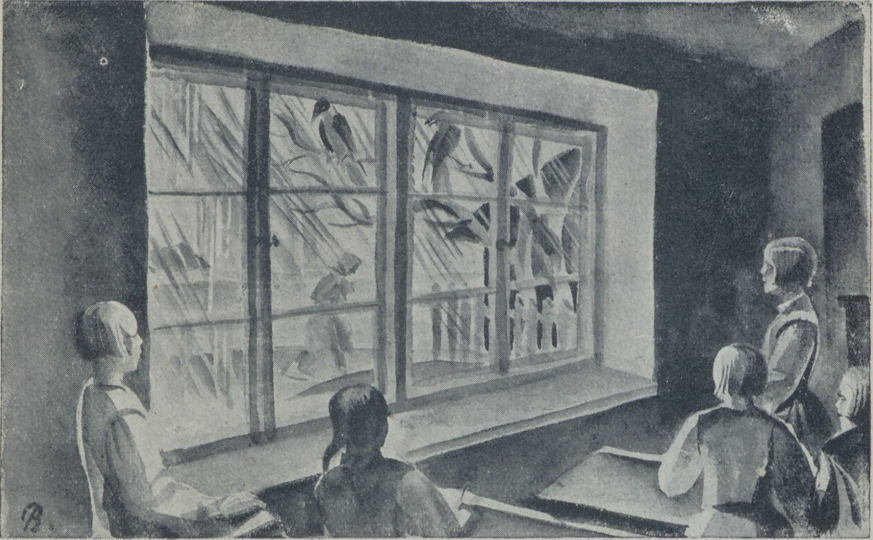
Weszła pani, popatrzyła na dzieci, popatrzyła na płaczące szybki i powiedziała:

— Ten smutny dzień nasunął mi wspomnienie pewnej powieści. Bardzo ona pasuje do dnia dzisiejszego. Przeczytam wam z niej kawałek.

Dzieci teraz dopiero zauważyły, że pani trzyma w ręku książkę.

— Więc słuchajcie:

„Była to późna jesień. Przyszły dni rozdeszczone, mokre, lepkie. Każde żywe stworzenie, które aby wyrzało za próg swego domostwa, przychwycił ziąb. Nie gryzł on i nie szarpał pazurami, jak mróz, ale powoli a przejmująco wciskał się człowiekowi pod ubranie, a stworzeniu innemu wskroś szerść czy pióra przesączał się przez skórę do samego wnętrza i napełniał całe ciało dygotem.



Za oknami rozchlapał się drobny, gęściutki deszcz.

Burek, stare, wysłużone psisko, które już od piętnastu lat strzegło Gajdowej zagrody, siedział przed budą i rozmyślał: gdzieby w ten bezlitosny wieczór znaleźć kąt zaciszny dla swych strudzonych kości?

Obora była zamknięta na moc, stodoła też, szopa na wozy tyle że chroniła przed deszczem, ale że nie miała bocznych ścian, to ciąg wiatru tak nią naprzestrzał przewiewał, że aż ździśla słomy z niej wymiatało to na podwórkę, to w pole.

Od czasu do czasu ktoś uchylał drzwi chaty, wychodził, czy też wchodził do wnętrza, a wtedy buchało na dwór lube ciepło i jak najmilsza pieszczota przeciągało po obmokłych bokach Burka.

Ach, być tam, gdzie sucho i ciepło!

Burek kilkakrotnie próbował wsunąć się bodaj do sionki, ale zawsze z progu już spychała go gospodarska czy parobczańska noga:

— A do budy!

Juścić, Burek sam swym psim rozumem pojmował, że dla niego miejscem schronu jest buda, jak dla ludzi chata.

Odepchnięty — dreptał więc do budy. Tkwiły mu jeszcze w mózgu wspomnienia tej budy z owych czasów, gdy żył stary Gajda, jego pierwszy pan i opiekun.

Pamięta: buda była z mocnych, suchych desek, wewnątrz suto wymoszczona słomą. Co roku, gdy się już gospodarz oblatwił był z robotą w polu — zabierał się do szykowania Burkowi budy na zimę.

— Musimy ci, piesku, chałupę opatrzyć, bo już święty Michał wszystko z pola pospychał, to i przymrozki lada dzień się zaczną.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

## Nasze obrazki.

### Śmierć Wandy. Al. Lesser.

Począwszy od N-ru niniejszego, będziemy dodawali wkładki, przedstawiające obrazy historyczne pendzli naszych malarzy. Wkładkę do niniejszego numeru stanowi reprodukcja obrazu A. Lessera: Śmierć Wandy.

— Wanda leży w naszej ziemi,  
co nie chciała Niemca...

Znana, stara piosenka, tak, jak znaną jest legenda o Wandzie, knehini lechickiej. Cóż nam opowiada owa baśń odwieczna?

Na Wawelskiej górze stoi gród książęcy, z wielkich kłód dębowych, od dźdźów poczniałych, zbudowany, częstokołem otoczony, owinięty u stóp srebrną wstęgą Wisły. A na grodzie, otoczona rojem dworzan i rycerzy, na książęcym tronie zasiada piękna knehini Wanda, po ojcu, mężnym Kraku, dziedziczną władzę sprawując.

Aż wieści o pięknej i mądrej knehini wyszły po za granice kraju i dotarły do uszu zdradliwych i zawistnych sąsiadów. Śle książę niemiecki, Rytygar, śle posły i swaty, niechaj piękna Wanda małżonką jego zostanie. Próżno jednak posłowie przebiegli drogę daleką, próżno pochlebne słowem sławia męstwo Rytygara, jego bogactwo i urodę, próżno dary bogate u nóg księżny składają: Wanda pod obcą władzę kraju swego nie odda.

A Rytygar grozi. Wnet hufce jego zaleją kraj cały, w perzynę obrócą sioła, stratują złote łąny. Zadrzała Wanda. Co robić, by kraj ocalić? Czem przebłagać zagniewane bogi? Wszakże to przez nią właśnie ta klęska na ziemię jej spada!

Chłodne fale Wisły unoszą martwe ciało Wandy, a lud wierny z nurtów zwłoki dobywa, łzami oblewa i mogiłę wysoką ku wiecznej pamiętce sypie.

Iluż poetów, artystów naszych w dziełach swych sławiło bohaterską knehinię! A jednym z nich był Aleksander Lesser, który w obrazie swoim p. t. „Śmierć Wandy” \*) przedstawia właśnie tę chwilę, gdy ciało ukochanej księżny z fal Wisły dobywają. Na brzegu zgromadzony tłum dworzan i towarzyszek Wandy. Wszyscy z żalem i bólem patrzą na zwisające w śmiertelnym bezwładzie zwłoki. Aleksander Lesser, malarz, który żył i pracował w pierwszej połowie zeszłego wieku, był jednym z pierwszych polskich twórców obrazów historycznych.

Prócz dużej liczby obrazów, do których treść czerpał z dziejów naszych, Lesser pierwszy z malarzy naszych odtworzył wizerunki królów polskich, zanim w lat kilkadziesiąt później zrobił to po raz drugi i inaczej Jan Matejko. Sumiennie i pracowicie badał Lesser stare zażytki, ubiory, rzeźby i umiejętność swoją zużytkowywał w swoich obrazach. Spotkamy się jeszcze w „Płomyku” z nazwiskiem Lessera i z odbitkami jego obrazów historycznych.

*M. Gerson-Dąbrowska.*

\*) Obraz ten znajduje się w Zbiorach Tow. Zach. Szt. Piękn. w Warszawie.

## Ze sportu.

### Dziesięciobój.

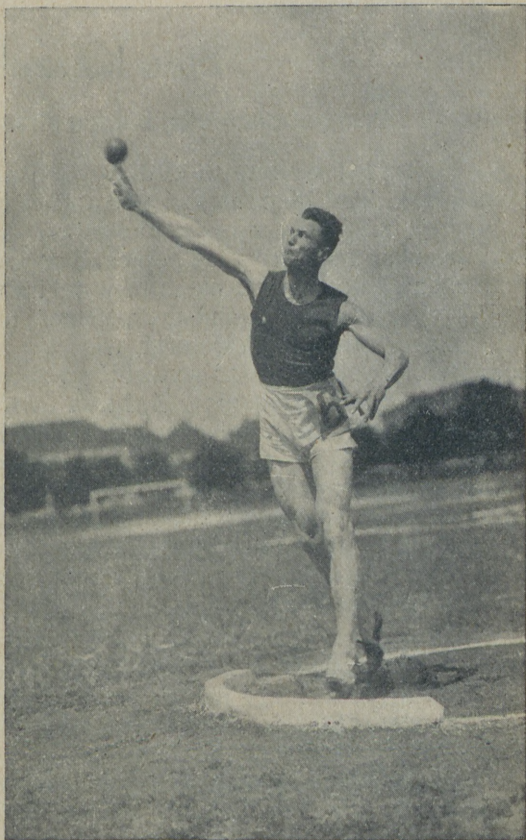
Cóż to za fotografię oglądacie obok?

Otóż jest to jeden z wybitnych polskich lekkoatletów, który rzuca kulą na boisku; widzicie, jak jest wspaniale rozwinięty? Powiem Wam więc, że takiej świetnej budowy nie osiąga się przez same ćwiczenie kulą, że muszą tu wchodzić inne rodzaje ćwiczeń lekkoatletycznych, dzięki którym ustrój ludzki rozwija się tak równomiernie, jak widzicie na tej fotografii.

Związkowi lekkoatletycznemu, który dba o dobro polskiego sportu, chodzi nie tylko o to, aby jaknajwięcej ludzi uprawiało lekką atletykę, ale także, aby każdy ćwiczący rozwijał się harmonijnie, uprawiając możliwie najwięcej rodzajów ćwiczeń i w tym celu ustanowiono tak zwane wieloboje lekkoatletyczne. Tak więc możemy mieć: dwubój — t. j. skok i rzut; trójbój: skok, rzut i bieg; pięciobój — w skład którego wchodzi bieg na 200 i 1.500 m., skok wdal, rzut dyskiem i oszczepem..

Wreszcie koroną wielobojów jest dziesięciobój, który obejmuje bieg na 100, 400, 1.500 m., bieg na 110 m. przez płotki, skok wzwyż, skok wdal i skok o tyczce, pchnięcie kulą, rzut dyskiem i oszczepem.

Co pewien czas odbywają się zawody wielobojowe; więc np. gdy jest pięciobój, stają tylko ci zawodnicy, którzy uprawiają wszystkie pięć rodzajów zawodów. Wynik z każdej oblicza się na punkty, podług specjalnie ułożonej tabeli, później się wszystko dodaje i ten, kto ma największą ilość punktów, zostaje mistrzem.



Fot. J. Rys.

LEKKOATLETA CEJZIK.

Najważniejszymi jednak zawodami są dziesięcioboje. Staje do nich zwykle niewielka grupa ludzi, którym czas i warunki pozwalają na tak poważną pracę. Bo pomyślcie tylko, ile to trzeba mieć wolnego czasu, ile silnej woli i opanowania, żeby tak pracować nad 10-oma rodzajami ćwiczeń, aby osiągnąć poważne wyniki.

W tym roku dziesięciobój o mistrzostwo Polski odbył się w Poznaniu i tu pierwsze miejsce zajął Cejzik, którego fotografia jest obok zamieszczona.

*T. Chrapowicki.*

5)

## Staś Kaszuba.

### Przygoda czwarta, bardzo straszna, z parasolem.

Dzień był wietrzny i dżdżysty. Staś siedział w otwartym oknie i poziewał. Toć hipopotam i nosorożec, choć przyzwyczajeni do bezczynności, ziewaliby z nudy, znalazłszy się w tem, co Staś położeniu. Bo pomyślcie tylko: rodzice pojechali do Gdańska, Agnieszka, kucharka, przyrządzała konfitury z malin, a w takim wypadku niebezpiecznie było wejść jej w drogę, a Dziubanek, kelner, musiał obok swoich zwykłych zajęć zastępować pilnie tatusia, więc też ani słówka nie mógł Stasiowi poświęcić. Próbował Staś wywabić do zabawy Żuczka, lecz psisko ściągnęło dzisiaj wszystką pieczeń, która „wróciła z sali”, więc leżało bez humoru i z powodu przejedzenia i batów, które otrzymało od kucharki. Nawet kot, Milon, z natury nerwowy, ocięzały był w dni dżdżyste i dziś też spał, zwinięty w kłębek, i na pieszczotliwe zaczepki Stasiulka odpowiadała jedynie przyjaznym mrużeniem. Siedział więc Staś w oknie, nie poto, aby patrzeć na drogę, którą od godziny nikt nie przeszedł, lecz żeby obserwować dziwne grupy chmur w zachodniej stronie, kędy wyjaśniało się cokolwiek.

Nagle skrzypnęły drzwi przeciwległego domu i wyszła z nich Pelasia. Była to pięcioletnia sierotka, przygarnięta przez zamożnego gospodarza Riedera, który jednak nie otaczał dziecka należyłą pieczołowitością, zwłaszcza pani Riederowa wyzyskiwała słabe siły dziewczątka, przeciążając je różnemi robotami.

W tej chwili Pelasia, bosa, w lichej sukieneczynie wyszła, dźwigając wielki kosz z ziemniakami. Stała przed progiem, wyciągnęła głowinę i twarzą jej przybrała wyraz niepokoju, gdy spadło na nią kilka kropel deszczu, ale z framugi drzwi popłynęły ostre słowa:

— Tylko się śpiesz, a z powrotem garnka nie rozbij, bobym ci sprawiła taką wyspę, że ha!

Drzwi się zatrzasnęły, a Pelasia rażnym krokiem, choć z zafrasowaną twarzą, ruszyła przed siebie.

— Pelasia, czego ty w deszcz nie siedzisz w domu? — spytał Staś.

Ruszyła znacząco ramionami.

— Dokąd idziesz?

— Do starszej pani z kartoflami, a pani da mi dzbanek z mlekiem.

— Pada deszcz, weź przynajmniej parasol.

Zwróciła na niego pełne zdumienia chabrowe oczęta.

— Parasol panów.

— Przecież są w domu; toć nie siedzą pod parasolem w pokoju.

— Daliby mi, gdybym wzięła! — westchnęła.

— To ja ci pożyczę naszego.

Twarz jej się rozpromieniła wobec możliwości odbycia dość długiej drogi pod parasolem, jak dorosła osoba.

— A twoja mama pozwoli?

Nie otrzymała odpowiedzi, bo Staś już odbiegł od okna, udając się do przedpokoju po parasol, duży, stary parasol po dziadku, gdyż nowy zabrali rodzice. Za chwilę był już przy niej; nie bez trudu otworzył parasol i złożył go w drżące ze wzruszenia rączyny. Chwilę stał, sam moknąc na deszczu, z przyjemnością spoglądając za Pelasią, która kopułę parasola oparła na główce, a lewem kolanem uderzała w zagiętą rączkę parasola z miną wielce zadowoloną. Ale wiatr zawiął dotkliwie, Staś więc zawrócił ku domowi. Nie przekroczył jednak jeszcze progu, gdy przejmujący krzyk dziecka przeszył powietrze. Chłopak odwrócił się przestraszony i skamieniał. Pelasi nie okrywała już kopuła parasola, lecz sterczał nad nią jakiś czarny potwór, w kształcie kielicha, podczas gdy ona, krzycząc w niebogłoty, starała się utrzymać szarpany wichrem parasol. W chwili jednak, gdy Staś dopadł z pomocą, wiatr zmógł wątłe siły dziewczątka, parasol potężnym szarpnięciem podrzucony został w górę i opadł ciężko w największą kałużę. A że nieszczęście nie chodzi nigdy samo, zdarzyło się tu i drugie: oto Pelasia, ratując parasol, upuściła koszyk z kartoflami, których znaczna część rozsypała się po błotnistej drodze i zniknęła w kałuży. Przerażenie dzieci nie miało granic. Co wprzód ratować: parasol, czy kartofle? Staś zdecydował się ratować coś trzeciego, to jest Pelasię, która zanosila się od płaczu i trzęsła z przerażenia, powtarzając z rozpaczą:

— Co ja teraz zrobię? Co ja teraz zrobię?

Staś włożył zblocony i odwrócony parasol pod pachę, w koszyk z resztą kartofli wrzucił jeszcze kilka mniej ubloconych i jął czułym tonem uspakajać Pelasię:

— Cicho, głupia, nic się nie stało; parasol się odwrócił, on nie pierwszy raz takie koziołki wyprawia!

— Kartofle, kartofle! — szlochała dziewczynka. — Blisko połowa utonęła!

— A co tam! Warto płakać o tych kilka garści kartofli, które tak obrodziły w tym roku?

— Pani kazała, żebym szła prosto i prędko; jak powiem, że ja tu z tobą rozmawiałem, zabije mnie... Obiecała.

Stasio jeszcze był za mały, aby wiedzieć, że i najgorsi ludzie dzieci za byle co nie zabijają i, że tego rodzaju pogroźki zwykle bywają gołosłowne, to też przeszedł go dreszcz zgrozy i, otoczywszy dziewczynkę troskliwie ramieniem, rzekł stanowczo:

— Chodź do nas; mamusia niedługo przyjedzie, ona z pewnością poradzi.

Staś bardzo kochał swoją mamę i wierzył w jej mądrość i doskonałość, to też z ufnością zupełną i rad tej odmianie oczekiwał powrotu rodziców; nawet groźny widok wszystkich drutów parasola, odsłoniętych bezwstydnie, nie napełniał go strachem. Inaczej było z Pelasią sierotką, która trzęsa się i płakała, spoglądając ukradkiem w stronę domu swych chlebowawców. Jakoż p. Riederowa i jej służąca, stara Janowa, kilkakrotnie wychodziły z domu, spoglądając na drogę. Przed wieczorem, gdy Pelasia, uspokojona cokolwiek i nakarmiona przez Stasia cukierkami, wyproszonemi u p. Dziubanka — kelnera, siedziała na podłodze, bawiąc się z Milonem, nagle, jak straszne widmo, ukazała się w oknie groźna twarz p. Riederowej.

— Niema tu czasem Pelki?

Dziewczynka przypadła do ziemi, a że między nią a oknem stała wysoka ława, nie została spostrzeżoną.

— Uciekła gałgan dziewczucha, ale jak ją sprowadzę, kości połamię!

Groźne zjawisko zniknęło, a Pelasia nie przestała płakać aż do powrotu rodziców Stasia.

Gdy mamusia weszła do pokoju, z niemałym zdumieniem przyjęła powitanie jedynaka, który padł przed nią na kolana i szlochał, ściskając ją za nogi.

Weź, mamusiu, Pelasię — wołał; — ona sierotka, jej kości połamię, ona ma takie cieniutkie... mogą. Ona niewinna, że parasol przefiknął, on zawsze takie głupstwa robi, nawet tatusiowi. To ja parasol dałem, ona nie chciała. Ja nie mam siostrzyczki, to ona może zostać... A kartofli to nie szkoda, ja sam ukopię, ile trzeba, a ja nie chcę, żeby ją bili, ona taka biedna... Taka... Pelasia...

Sporo czasu upłynęło, zanim mama zrozumiała, o co chodzi. Potem wypytywała Pelasię, ale od zalęknionej dziewczynki niewiele mogła się dowiedzieć. Wezwała więc kucharkę, która potwierdziła, że małą bardzo biją i nie odżywiają dostatecznie, a przeciążają robotą.

Potem rozmawiała mama długo z tatusiem, następnie poszła do państwa Riederów i pozostała tam blisko godzinę.

A wynik tego wiecie jaki?

Oto tego jeszcze wieczoru Pelasia, wykąpana i czysto obleczona, spała na sofie w pobliżu łóżka matki Stasia, a on klęczał przy niej i, kończąc zwykły pacierz, dodał sam od siebie:

— Dziękuję Ci, Boże, żeś mi dał siostrzyczkę.

Tak to szczęśliwie zakończyła się ta straszna historia, szczęśliwie nawet dla parasola. Bo, choć nie dał się już zreparować ze względu na połamane wszystkie druty, ojciec odjął kijek, który miał ładną rączkę i zrobił z niego... pamiątkową laskę rodzinną.

Czeka więc laska na Stasia, aby stał się choć o połowę większy od niej.

*M. Bogusławska.*





**JAKIE BĘDZIEMY MIELI MONETY?** Według rozporządzenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polska wybijać będzie monety złote: po 100 złotych, 50 i 25 złotych (te ostatnie będą się nazywały dukatami); monety srebrne po 5 i po 2 zł.; niklowe po 1 zł., 50 i 10 groszy; brązowe po 5, 2 i 1 gr. Z jednego kilograma stopu, składającego się z 900 gramów złota i 100 gr. miedzi, wybijać się będzie 5332 złote.

**POŁÓW RYB NA WYBRZEŻU POLSKIM.** Na polskim wybrzeżu morskim złowiono we wrześniu b. r. około 289.916 kg. ryb, wartości 404.300 złotych. Przy połowie było zajętych 1011 rybaków na 44 łodziach motorowych i 253 łodziach żaglowych.

**WYSTAWA SZTUKI OGRODNICZEJ W BRUKSELLI.** We wrześniu b. r. w Brukselli była urządzona wystawa sztuki ogrodniczej, w której wzięło udział 43 państwa. Wystawa była urządzona w hali wspaniałego pałacu, ozdobionej 1000 palm. Warszawa na tej wystawie za projekty, plany i fotografie ogrodów otrzymała „Grand Prix d'Honneur” (Wielką Nagrodę Honorową). Z miast takie odznaczenie otrzymała tylko Warszawa.

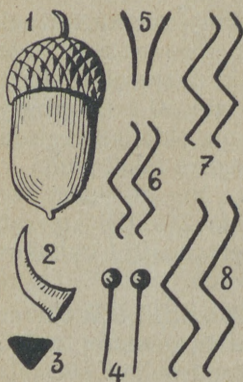


Fot. Wotyński.

Po wyuczeniu się lekcji zasiadamy codziennie do radja.

## OWAD Z ŻOŁĘDZIA.

Z żołądzi można robić różne zabawki np. takiego owada, podobnego do chrabąszcza. Wybierzcie duży, ładny żołądz (rys. 1), przetnijcie go wzdłuż, niezupełnie pośrodku i tę większą część weźcie jako tułów owada. Ogonek należy oberwać i w tym miejscu wydłubać dość głęboki otworek, w który wkleicie syndetikonem długi cieriń róży (rys. 1, 2), kołącym końcem ku górze. Pod spodem przykleicie mały trójkącik z czarnego sukna (rys. 1, 3) i przymocujecie go jeszcze dwiema szpilkami o czarnych łebkach (rys. 1, 4).



Rys. 1.

Dwa kawałki drutu trochę wygięte (rys. 1, 5), uczernione tuszem i wbite ponad szpilkami,



Rys. 2.

będą stanowiły różki owada. Nogi, których będzie 3 pary, zrobicie też z drutu tak wygiętego, jak na rysunku. Najpierw umocujecie przednią parę nóg, najkrótszą (rys. 1, 6), potem trochę dłuższą (rys. 1, 7) i wreszcie ostatnią, najdłuższą (rys. 1, 8). Na grzbiecie trzeba narysować linje dla zaznaczenia skrzydeł, a na nich namalować kilka czarnych większych i mniejszych plam (rys. 1, 9).

(„L'ami des enfants”.)



## Dział rozrywek.



## „KONKURS NA ODGADYWANIE PRZYSŁÓW”.



Rysunek obok zamieszczony rozpoczyna nasz *Nowy Konkurs*. W kilku następnych numerach również będą podobne ilustracje. Z każdego rysunku należy odgadnąć przysłowie polskie i krótko wyjaśnić znaczenie przysłowia.

*Ten, kto odgadnie wszystkie przysłowia i najlepiej je objaśni — otrzyma coś na pamiątkę.*

Termin nadesłania pierwszej odpowiedzi: do dnia 30 listopada b. r.

DO HENIA ŁAKOMSKIEGO W MYSŁOWICACH. A może napiszesz do swego Wujka list z prośbą, by odwiedził naszą redakcję z próbnymi rysunkami?

DO JÓZIA KWIECINSKIEGO W ROKITNIE. Czy Ty jesteś jednym z tych 20 harcerzy? Jeśli tak, napisz nam coś o Waszem życiu harcerskim. Czy już zaprenumerowaliście pismo harcerskie?

DO D. LEICHENA W GRÓDKU JAGIELLONSKIM. Teraz, kiedy już odważyłeś się napisać do nas, będziesz już pisywał stale — prawda?

DO HALI DUSZYŃSKIEJ W MIEJSKIEJ GÓRCE. „Płomyk” dopiero rozpoczął 12-ty rok, więc pewnie jesteś od niego starsza więcej, niż o parę miesięcy. Czy zaprzyjaźniłaś się z którąś z koleżanek? Pewnie już przekonały się, że jesteś taką samą Polką, jak i one. Napisz jeszcze do nas.

DO ZOSI POLKOWSKIEJ W WARSZAWIE. Figusia spędziła lato w podwarszawskim (koło Piaseczna) lesie, a teraz już wróciła do Warszawy, do dawnego mieszkania, które z widoczną radością oglądała.

DO IRENKI PONY W WARSZAWIE. Odrazu więc na dwa listy otrzymasz odpowiedź. Pewnie już teraz rozpoczniemy stałą korespondencję. Dziękujemy Ci za współczucie, ale uważamy, że praca, szczególnie dla dzieci, daje wiele zadowolenia. Czy tak samo traktujesz swoją pracę, naukę?

DO JÓZI SOBCZAKÓWNY, MARYSI GAJDIANKI, ZOSI SINIARSKIEJ, NATALCI JUROWSKIEJ, MARYSI RYBICKIEJ, JÓZI PINARÓWNY, GENI SZCZEPANIKÓWNY, B. ROBAKÓWNY, BRONKA SELIGI I A. SZCZEPANIKA W BARYCZY. Bardzo starannie opracowaliście rozwiązanie. Czy do Krakowa i Zakopanego wybieracie się podczas świąt Bożego Narodzenia? Po powrocie opiszcie nam koniecznie swą wycieczkę.

DO DZIECI KL. VI SZKOŁY POWSZ. ŻENSKIEJ W OPATOWIE KIELECKIM. A czy nie wiesz, że Opatów jest miastem bardzo starożytnym. Już w XII wieku jest mowa o niem, jako o własności biskupów lubuskich. Brama, o której piszesz, jest jedną z czterech, które zbudować kazał Krzysztof Szydłowiecki w XVI stuleciu, oraz mur, który opasywał miasto. Pożary nawiedzały Opatów parokrotnie: dwa z nich, w latach 1751 i 1844, zniszczyły je tak bardzo, że już nie zdołał się podźwignąć. Za pochrochnienia dziękujemy.

DO RYSZARDA GOŹDZIEWICZA W ZDUŃSKIEJ WOLI. Opis tych ulepszeń w budowie radjodbiornika nadesłaj nam: pomówimy o nich z p. Manczarskim. Jeśli już masz się wziąć do pracy, to, istotnie, należy się nad tem dobrze zastanowić. Nie radziłobyśmy Ci jednak poświęcać się sztuce filmowej. Sztuka ta wymaga od aktora wielkich zdolności, a również warunków zewnętrznych: figury odpowiedniej, twarzy, jak to mówią, fotogenicznej, czyli takiej, która „dobrze wychodzi” na fotografii; wymagają też od aktora znajomości sportów różnych. Ale obok tego, u nas nie rozwinął się jeszcze przemysł filmowy. Na całym świecie istnieje setki tysięcy amatorów, pragnących zostać aktorami filmowymi, ale nawet w tych krajach, gdzie przemysł filmowy jest znacznie rozwinięty — i tam gromady całe wyczekują upragnionej pracy. Z tych setek tysięcy tylko nieliczni dostają się wreszcie do wytwórni i ciężko pracują, by zdobyć tyle, by im starczało na utrzymanie. Praca ta o wiele, wiele rzadziej przynosi sławę i bogactwo, niż rozczarowanie i biedę. A u nas jest prawie nieziszczalnym marzeniem. Jeśli chcesz się dowiedzieć adresu artysty, napisz list do pisma, poświęconego kinematografii p. t. „Kino dla wszystkich” (Warszawa, Warecka 7).

W sprawie sztuk teatralnych, odpowiednich do odegrania na wsi, znajdziesz wskazówki w katalogu, jaki był wydrukowany w Nr. Nr. 26 i 27 zeszłorocznego „Płomyka”.

DO DZIECI KL. V SZKOŁY POWSZ. W PRZATOWIE. A nie mieliście to czasem podczas grzybobrania jakiej przygody? Naturalnie, taka przygoda, jaka jest opisana w powieści p. Porazińskiej p. t. „Wesoła gromada”, nie zdarza się tak często. Jak Wam się podobało zachowanie Marka w tej przygodzie?

DO SABINY CIEŚLAKÓWNY W ŁODZI. Czy ten wierszyk ułożyłaś sama, z głowy?

DO JANKA SIKORSKIEGO W ŁODZI. Musisz więc wyćwiczyć swą wolę i dzięki niej utrzymać w posłuszeństwie niecierpliwosć w oczekiwaniu na „Płomyk”. Napisz nam, czy udaje Ci się.

DO W. HOŁOWACZA W RADZIJEWSCZYŹNIE. Utwory dzieci drukujemy raz na rok w numerze, całkowicie poświęconym pracom naszych Czytelników. Wiersze chętnie przeczytamy.

## ODEZWA DO CZYTELNIKÓW „PŁOMYKA”.

Dziewiąty raz obchodzić będziemy Święto Bożego Narodzenia w Niepodległej Ojczyźnie.

Dziewiąty raz obchodzić będziemy to Święto w odrodzonej Polsce, ale nie wszyscy. Nie wolno zapaminać nam o tem. Nie wolno zapominać nam, że zgórą 200.000 dzieci polskich spędzi ów najdroższy, niezapomniany nigdy wieczór wigilijny daleko, het — za kordonem — na ziemiach niewyzwolonych. Opromiemy im Święty Wieczór najskromniejszym choćby wyrazem pamięci, świadectwem, że choć dalecy — jesteście sobie bliscy. Niech każde dziecko polskie ze Śląska, Gdańska, Niemiec — znajdzie pod choinką najskromniejszy choćby upominek — z tamtej strony. Niech obok podarku od Matki, z radością w oczach ujmie w ręce drgający jeszcze ciepłem, nieostygły wzruszeniem — podarek z Ojczyzny. Niech poczuje, że ta Ojczyzna przy nim jest — żywa, wielka i bliska, że przesyła mu pozdrowienie. Niechaj zabije mu silniej miłością ogromną i wdzięcznością serce, niech z dumą powie: „Jestem Polakiem, jestem Polką, tak chcę i tak pozostanie, dowiodę tego. Oto Ojczyzna polska śle mi pozdrowienie”.

Czytelnicy „Płomyka”! W Waszej mocy jest skromnym darem dać osieroconym dzieciom polskim — uśmiech Ojczyzny, w Waszej mocy jest rozbudzić w nich miłość do Niej i skrzepić wolę pragnieniem życia dla Niej.

Niechaj wschodząca Gwiazdka, za Waszą sprawą, stanie się za prawdę tą pierwszą, symboliczną, wschodzącą gwiazdą Polski na zasępionem niebie Śląska, Gdańska, Niemiec.

Utworzony przez Komisję Kulturalno-Oświatową przy Związku Obrony Kresów Zachodnich „Komitet Zbiórki” wzywa niniejszym wszystkich ludzi dobrej woli do składania jaknajliczniejszych ofiar w naturze bądź gotowiznie pod niżej podanym adresem.

*Komisja Kulturalno-Oświatowa przy Związku Obrony Kresów Zachodnich, Warszawa, Nowy Świat Nr. 21, tel. 518-75 oraz 258-53. P. K. O. 84-14.*

---

**Dodatek do niniejszego N-ru „Płomyka” stanowi reprodukcja obrazu Lessera: Śmierć Wandy.**

---

### WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyk” . . . . . miesięcznie 1 zł. 50 gr. — za cały rok szkolny 14 zł.  
„Płomyczek” . . . . . „ 1 zł. — „ „ „ „ 9 zł.  
„Płomyk” z „Płomyczkiem” miesięcznie 2 zł. — „ „ „ „ 18 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,  
„Płomyka” z „Płomyczkiem” — 50 gr.

**Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.**

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

---

Wydawca: w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —  
JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

---

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.